

zgasnąć wobec pani, bo i panny bywają zazdrosne o swą piękność.

— O, nie ja! — zawołała zarumieniona Klimcia. Pocisk doktora zrobił swoje i radczyni rzekła decydująco:

— Irenka przyjdzie... pójdę po nią.

— O, nie mameczka, ja sama, — ofiarowała się córka, nie ruszając się z miejsca.

— Ja was pogodzę, — wstała Milcia, — przeprowadzę krnąbrną siostrzeniczkę, — uśmiechnęła się i wyszła.

Ruch w łoży dziewiętej zauważyli ci i owi z publiczności i poczęli śledzić. Widziano, że Milcia idzie do krzeseł i usilnie nalega, wreszcie Irena wstała, ku zaciekawieniu kilku rzędów krzeseł i wyszła.

Milcia z miną tyumfatorki wprowadziła Irenę do łoży mówiąc:

— Ależ panienka uparta, ledwie ją namówiłam. Czy wszystkie Warszawianki są tak uparte?

— Irenko, to nieładnie nie słuchać, kiedy ja i Klimeczka prosimy... siadaj przy Klimeczce... pan doktor Lencki... nasza kuzynka.

— Przepraszam ciocię, nie wiedziałam, że cioci zależy na tem.

Gdy Irena w skromnej sukience, ale świadczącej o dobrym guście i doskonałej krawcowej, usiadła obok wystrojonej Klimci, mnóstwo szkieł skierowało się na łożę dziewcząt, a z min i ruchów panów poznać można było, że udzielają sobie jakichś obserwacji.

— Wejście pani do łoży zrobiło wrażenie, — uśmiechnął się doktor, — dobroć serca zostaje zawsze nagrodzona.

— Jak to pan rozumie, panie doktorze? — nachmurzyła się radczyni.

— Bardzo zwykle... lwy teatralne znalazły żer na jakiś czas.

— Jakie lwy? — spytała Milcia naiwnie.

— Wcale niedrapieżne, — zaśmiał się, — w tużurkach, smokach, z lornetkami i bez nich, ale łakomi na świeżą plotkę... Pójdę posłuchać!

— Ale pan przyjdzie jeszcze do nas, bardzo prosimy, — zachęcała radczyni.

— Skorzystam z miłego zaproszenia, — skłonił się i wyszedł.

— Prawda jaki ten doktor przyjemny? — zwróciła się Milcia do Ireny.

— Nie znam go.

— Choruje na dowcip i złośliwość, — zauważyła Klimcia.

— Ach, Klimeczko, — westchnęła radczyni, — ty jesteś zbyt wybredna, a on jest przyjemny, ze stanowiskiem.

— Tylko doktor, — uśmiechnęła się Klimcia ironicznie, — i jak mi mówiono, ma lichą praktykę.

— Prawda, że nie pobiera pewnej pensji, ale może mieć ładne dochody, — dodała Milcia.

— Irenko, cóż tak milczysz? — spytała ciotka, — mów coś.

— Jak się cioci podobała sztuka?

— Powtarzasz słowa swego brata — uśmiechnęła się Klimcia — jak dla mnie, nic szczególnego nie znajduję w tej sztuce. Zwyczajny spór małżeński, wydmuchany.

— Daruj Klimciu, ale ta lady Chiltern zasługuje na gniew męża za swój upór z tą sprawą. Dla jakichś wymarzonych skrupułów niszczy przyszłość męża — nauczała radczyni — tak nie postępuje dobra żona, tylko ambitna kobieta, która nie myśli o przyszłości domu.

Irena spojrzała na ciotkę zdumiona i miała coś powiedzieć, gdy odezwał się dzwonek. Zanim przyćmiono światło, Klimcia patrząc na szereg krzeseł rzekła:

— Mameczko, doktor idzie do Romana... siada na miejscu Irenki.

— Prawda! — wychyliła się — to dziwne! I co on może gadać z Romanem?

— Sądzę, że zrobił to dla was Paulisiu, chcąc okazać swą grzeczność dla waszego kuzyna — zrobiła uwagę Milcia.

Tymczasem doktor zbliżył się do Romana i rzekł uprzejmie:

— Pan tu obcy, może potrzebuje pan wyjaśnienia jakiego. Pozwoli pan, że usiądę.

— Bardzo chętnie.

— Zna pan dzisiejszą sztukę?

— Widziałem w Warszawie.

— A ja w Wiedniu; jakże podobała się panu gra artystów.

— Nieszczerólnie.

— Nic dziwnego — uśmiechnął się — w składzie osobistym teatru jest dosyć sił, nawet bardzo zdolni aktorzy i aktorki, ale gdy co tydzień muszą grać nowość, nie mają czasu na obmyślenie i wyuczenie się roli, a cóż dopiero zgranie się zgodne.

— Nie wiedziałem o tem.

— Na t. z. premiery rzadko chodzę — mówił doktor — bo pierwsze przedstawienie to właściwie generalna próba sztuki.

— Dlaczegoż muszą dawać tak często nowe sztuki? Czy nie lepiej dawać rzadziej, a dobrze wystawić?

— Straciłby teatr. To miasto małe, ubogie i chociaż z pretensjami do Aten polskich, ale teatru bez nowości nie zapełni... To mała próżność pochwalić się: byłam na premierze! I można to wybaczyć.

Kurtynę podniesiono, rozpoczął się akt trzeci, w którym lord Goring święci tryumfy.



„Wejście pani do łoży zrobiło wrażenie”.

Po skończonym akcie zaproponował doktor:

— Może się przejdziemy?

— Czy do łoży? — spytał Roman niepewnie.

— Jeśli pan żąda... i tęskni do cioci — uśmiechnął się doktor.

— Wolałbym pójść po ostatnim akcie — powiedział Roman wstając i idąc za doktorem.

— Ja również... pójdziemy do cukierni.

Doktor kazał podać wino, usiedli przy bocznym stoliku.

— Pan do nas na długo?

— Paszport bezterminowy — uśmiechnął się Roman.

— Rozumiem... macie jednak ciężkie życie.

— Tembardziej odczuwamy, że była chwila wolności — westchnął Roman — i nie mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego tu widzają nas tak niechętnie i podejrzliwie?

— Rzecz naturalna — uśmiechnął się doktor — z falą rewolucyjną napłynęły do nas szumowiny społeczne i te zrobiły Królestwu rozgłos i opinię przez napady, rozpustę, pijaństwo. U nas, jak może pan zauważyć, ludzie lubią wygodę, ciszę i mają wyraźną niechęć do pracy mózgowej. Są za leniwi, ażeby krytycznie rozróżnić szumowiny od czystej

wody, to tak wygodnie wszystko potępić i w dodatku, tak tanim kosztem ubrać siebie w togę cnoty i moralności — śmiał się swobodnie — a kto dał panu uczuć swe niezadowolenie? Nie pytam o nazwiska, ale o gatunek ludzi.

— Hm... prawie wszyscy... ale najbardziej zdziwiły mnie ostre zarzuty z ust wyższych urzędników.

— To zupełnie w porządku — uśmiechnął się doktor — i inaczej być nie mogło.

— Dlaczego?

— Wy, Królewicy, jesteście urodzeni rewolucyoniści, wam się marzy o Polsce wolnej, niepodległej, tęsknicie do przewrotu, wojny, do kataklizmu politycznego, a większość Galicyan, zaś specjalnie urzędnicy, to urodzeni ugodowcy, którzy drżą o swą pensję, stanowisko, emeryturę, chcą ciszy i boją się wszelkiej zmiany.

Jakże pan mógł spodziewać się innego przyjęcia! — śmiał się. — A może pan żądał od nich protekcji? — spojrzał mu w oczy.

— Coś takiego — zarumienił się Roman jak burak.

— No, winszuję — tracił się z nim o kieliszek — pij pan, a toś pan trafił — śmiał się — i kto panu to poradził?

— Mój wuj... radca Terlikowski.

— A! Już nauczyłeś się pan tytułować po galicyjsku? To nie zaszkodzi, bo... Galicyanin bez urzędu to chart bez ogona... a może zamiast „urzędu”, woli pan, bez rangi lub tytułu... to wszystko jedno.

Roman nie bez zdziwienia słuchał doktora, poczuł w nim człowieka innego od spotkanych dotychczas w Krakowie i spytał z pewnem wahaniem:

— Czy pan Krakowianin?

— Dlaczego?

— Bo pan taki różny... taki inny.

— Tylko w oczach pana — uśmiechnął się zagadkowo — jednak urodziłem się w Krakowie, wychowałem i bardzo lubię Kraków.

— Lubi pan?

— Jeśli pan chcesz, to nawet więcej, niż lubię... chodźmy jednak, już dość dawno po dzwonku.

— Nie zauważyłem dzwonka, tak miło czas mi upłynął.

— Aż miło? — zaśmiał się doktor.

— Zaczynam poznawać Kraków...

— Chcesz pan powiedzieć, że zaczynasz rozumieć... do poznania jeszcze daleko. Ale ciotka musi być zaniepokojona.

Nie chcąc przeszkadzać widzom, usiedli na pierwszych, lepszych wolnych krzesłach i doktor stwierdził z zadowoleniem niepokój radczyni, która co chwila zwracała oczy ze sceny na salę, szukając Romana i doktora.

Sztuka się skończyła, a doktor rzekł bardzo uprzejmie:

— Może razem z paniami pójdziemy na kolację. Dobrze?

— Bardzo chętnie — pospieszył Roman.

— Tylko czy panie się zgodzą?

— Nie wątpię, panie doktorze.

— Zobaczmy — uśmiechnął się doktor.

Weszli do łoży, a radczyni spytała szybko:

— Gdzie byłeś, Romanie? Szukałam cię i nigdzie ani śladu.

— Taka szpileczka nie zgubi się tak łatwo — zażartował doktor.

— Nie o to mi szło... ale gdzie byłeś?

— W cukierni.

— Otóż i wylazł z ciebie Warszawiak — zaśmiała się — zamiast do teatru, dalejże do cukierni.

— Zwłaszcza, że za krzesło zapłacił pan grubo — dodał doktor poważnie.

— Nawet za dwa... a gdzie był pan doktor w czasie ostatniego aktu?

— Siedziałem w głębi sali, razem z panem Czajkowskim.

— A, tak... Klimciu, zasłoń szyjkę, tak łatwo o przeziębienie... Gdzie twoje okrycie, Irenko?

— Poszedł już Romek do garderoby... otóż i on.

Gdy wyszli z teatru, przemówił doktor uprzejmie, tonem prośby:

— Tak miły wieczór należy godnie zakończyć — zwrócił się do radczyni — możeby panie raczyły pójść z nami dwoma na kolację?

(Dalszy ciąg nastąpi).